

Połowa serio + pół żartem

Pierwsze wejście do teatru w każdym nowym sezonie jest dla mnie ciężkim przeżyciem. Trudno za to lubić teatr. W dodatku odpowiedzialność wobec czytelników rośnie wraz z cenami biletów, szczególnie przykro odczuwanymi na początku sezonu.

Niestety niewiele można powiedzieć o autorach dwóch jednoaktówek, wystawionych w Teatrze im. Wilama Horzycy pod wspólnym tytułem *Amerykańskie bajki dla dorosłych*. Milczy na ten temat wyjątkowo szmatlawo wydany i oferowany za złotówkę program. Shel Silverstein – autor pokazywanego po przerwie *Tygrysa czy kobiety* – tylko dzięki wrześnie reklamówce repertuarowej teatru, może być rozszyfrowany raczej jako facet, a nie baba. Pleć autora pierwszej z dwóch prapremierowych jednoaktówek – *Królewicza żaby* – zdradza na szczęście jego imię. Kilka innych sztuk Davida Mameta ze zmiennym szczęściem pojawiało się ostatnio na polskich scenach, na tyle jednak często, by można uznać, że jest modnym autorem. Podobno jest to moda przeniesiona z ojczyzny autora, o ile Amerykę można oczywiście nazwać ojczyzną i o ile w ogóle można tam mówić o modzie w dziedzinie teatru. Jest to oczywiście opinia eurofila, który Amerykę wyobraża sobie jako kulturalną pustynię przemierzaną od czasu do czasu przez gangsterów i kontrabasistów z centrum, w zasiedlonym przez adwokatów i Murzynów Nowym Jorku. No bo faktycznie, rzeczywistość amerykańska znaję wszyscy na wskroś, poprzez telewizję i wszechobecne amerykańskie kino. Jakież to rewelacyjne pole do wszelakich wieloznaczności i skojarzeń. Trzeba było dopiero trzeźwości spojrzenia jednego z moich wspaniałych przyjaciół, który po przybyciu do Kalifornii – a działa się to jeszcze w epoce minionej – wzbudził zgorzniecie kolegów przesłaną wiadomością: „tu jest wspaniale – zupełnie jak na Krymie!” Napisy na ścianach teatralnej scenografii faktycznie nie różnią się od tych widocznych na ulicach Torunia i Sewastopola – młodzież teraz pilnie uczy się języków – a scenograficzny bajzel przed przerwą i wychuchany ład po przerwie, wydają się dziwnie swojskie. Amerykanizujemy się! Brrr...

Wróćmy do przedstawienia. *Wielka Trójca* znanych z wielu udanych przedsięwzięć realizatorów – Władysław Janicki (ruch sceniczny), Aleksandra Semenowicz (scenografia) i wreszcie Krystyna Meisner (reżyseria) – dawała nadzieję na wysoki lot i wystrzała apetyt. Wyglądiała nad rzekami, jeziorami, w górach i nad morzem powakacyjna publiczność otrzymała niezłe drugie danie z pysznym deserem (puenta) i lekko niestrawną zupę. Nade wszystko można było jednak się rozkoszować przystawkami serwowanymi przez aktorkę Marię Kierzkowską, już to widzime, już to dziewczynę, już to szparką – sekretarkę. Smakowite to było, inteligentne i nieprzerysowane.

Sztuki-dania zestawiono najwyraźniej „mechanicznie”. Należało się zdecydować, czy próbować je ustawić równoległe, czy prostopadłe. W rezultacie *Królewicz Mameta* zalega jakoś skosem i to pod kątem zupełnie przypadkowym. Tekst może nawet trochę zalać grafomania (dziś czasem nazywa się to postmodernizmem), naspikowany jest mnóstwem aluzji literackich i cytatów, jednak nie do końca może jest jasne, czego tak naprawdę istotnego dotyka. Może niczego, a może jednak czegoś bardzo ważnego: przyjaźni. Przyjaźni z chłopcem, przyjaźni z dziewczyną, przyjaźni silniejszej niż seks i silniej-



Anna Magalska-Milczarczyk
Fot. W. Szabelski

szej niż śmierć. Jeżeli tak było, no to – do wszystkich diabłów – naprawdę dotyczy to ważnego tematu! Niestety, w wydobyciu takiej bądź jakiegokolwiek innej, ale znaczącej interpretacji tej sztuki, starał się jak mógł przeszkodzić kreujący tytułową rolę Paweł Tchórczelski. Po prostu klepał tekst na wyścigi, bez sensu i zrozumienia, aż dziw, że nie zareagowała na to reżyserka. Nie było też chyba konsekwencji co do konwencji przeniesienia bajkowego motywu do współczesności. Doprawdy nie wiem, czy zaklęty na tle wielkomięskiego śmietnika czy zaułka, królewicz, nie prezentowałby się lepiej w akwalungu i pletwach?

Po przerwie akcja toczy się wartkim nurtem, wytyczonym przez grane do niedawna w „Horzycy” cztery inne jednoaktówki, spięte hasłem *Amerykańskiego bluesa*. Brudna ulica zamienia się w sterylne wnętrze telewizyjnego centrum, widzima w złego czarownika – producenta czy kierownika programu, królewicz w królowę, a nawet w jedyną, prawdziwy herb Ameryki – Marylin Monroe, dziewczyna w rzymskiego wojownika, a żaba w tygrysa... Poza tym wszystko jest dokładnie tak samo jak w pierwszej sztuce. Nie cknij się też do zadumy, bo rzeczona przyjaźń zastąpiono tu udaną farsą. Z przyjemnością popatrzyłem na nie schodzącego ze sceny Włodzimierza Maciudzińskiego i udanie balansującą nad aktorską przepaścią Annę Magalską-Milczarczyk. Brawurowe wejście Ryszarda Balcerka, w stylu postaci z Billy Wildera, desygnuje go do roli najlepszego ostatnimi czasy rozśmieszacza w teatrze, że wspomnę jego rolę choćby w obecnym w repertuarze *Awanturze w Chiooggi* i *Nie igra się z miłością*, a także granym do niedawna, moim ulubionym *Testamencie psa*. Środki rozweselające aktor dobiera w sposób selektywny i przemyślany, trafnie, i niegłupio wyszydające kreowaną postać.

Mimo więc zastrzeżeń na przedstawienie pójść trzeba: pozłóścić się, że nie można zadumać, a potem pośmiać się z tego! *Nobody is perfect...*

KLAKIER

Mamet: *Królewicz żaba* (przeł. Moniki Popiołek) oraz Shel Silverstein: *Tygrys czy kobieta* (przeł. Agnieszki Hein) pod wspólnym tytułem *Amerykańskie bajki dla dorosłych*; reż. Krystyna Meisner, Teatr im. W. Horzycy w Toruniu, prapremiera polska 16 IX 1995 r.